

Alfred
Zajdorf

Nie święci...

Przekleństwo śmierci ogarniło świat. Ojczco, do czego to prowadzi?

Tłumaczyłeś mi, że nie wolno bić młodszych ani słabszych. Człowiek jest największą wartością, należy szanować ludzi. Nie wolno przedrżezniać ani wysmiewać się z ułomnych. Starszych trzeba szanować i słuchać. Nie wolno kłamać. Trzeba kochać bliźniego. Kochać i być posłusznym. Kochać i przyjmować rązy. Kochać, bo...

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO



Nie święci...



Alfred
Zajdorf

Nie święci...

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Copyright © by Alfred Zajdorf, 2011
All rights reserved

Redaktor prowadzący
Katarzyna Lajborek-Jarysz

Redakcja
Witold Kowalczyk

Projekt okładki i stron tytułowych
Agnieszka Herman

Fotografie na okładce
istockphoto.com

Opracowanie graficzne i techniczne
Jarosław Szumski

Wydanie I w tej edycji, poszerzone

ISBN 978-83-7506-806-1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Słowo wstępne

Alfred Zajdorf urodził się w Łodzi 1 lutego 1928 roku w rodzinie inteligentnej. Na początku 1940 roku przyjechał do Warszawy, gdzie dzięki pomocy życzliwych mu ludzi przetrwał trudne półtora roku. Jesienią 1942 roku został przewieziony na Lubelszczyznę, do miejscowości Wólka Sobieska, gdzie pracował w majątku Sobieszyn, administrowanym przez Niemców, jako czeladnik fornala, pomoc w kuchni i w stajni, jako chłopak do wszystkiego. Pod koniec 1944 roku opuścił majątek i wstąpił do leśnego oddziału AK. Po wojnie był represjonowany za przynależność do AK i więziony. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pracował w branży tekstylnej w Łodzi. Po wydarzeniach marca '68 wyjechał z Polski i osiadł na stałe w Danii, w Kopenhadze. Zajmuje się tam między innymi pisanem wspomnień, a także utworów wierszowanych. Współpracuje z prasą duńską. Część jego dorobku pisarskiego przetłumaczono na język duński. Alfred Zajdorf jest autorem niepublikowanych dotychczas wspomnień z okresu pobytu na Lubelszczyźnie oraz swoistego opisu życia mieszkańców dzielnicy Bałuty w przedwojennej Łodzi.

Nie święci... są zapisem przeżyć autora w okresie jego pobytu w Warszawie i na Lubelszczyźnie. Zajdorf bez upiększeń opisuje świat, w którym przyszło mu żyć, świat widziany oczami dziecka, które zbyt wcześnie spotkało się z problemami, którym podołać nie mogą nawet dorośli. Tekst miejscami chropowaty i nierówny nie jest pozbawiony elementów liryzmu i poetyki podkreślających autentyzm opisanych przez autora przeżyć.

Zgodnie z wolą autora i intencją wydawcy wspomnienia te otrzymują Państwo w wersji nieretuszowanej, albowiem w przypadku literatury pamiętnikarskiej najstosowniejsze jest podejście Floriana Znanieckiego, który wprowadził do światowej socjologii ten rodzaj literatury jako paradokument.

Jacek Wójciak

Mojej córce Sarze



Do Ojca.

Mam jedenaście lat i osiem dni. Jak na życie — to niewiele.

...Był ósmy lutego czterdziestego roku. Ten dzień wykruszył mnie z dzieciństwa, napiętnował...

Tatusiu, może moja spowiedź da nam spokój.

Byłem świadkiem Twojej śmierci, mimo to nie wiem, który z morderców do Ciebie strzelał.

Chciałem jeszcze tylko spojrzeć na Twoją kochaną twarz. Leżałeś odwrócony do ziemi. Całując ją, zegnałeś się ze mną na zawsze.

*

Piekło i ohyda, zbrodnia bez kary... Przekleństwo śmierci ogarnia świat. Ojcze, do czego to prowadzi...?

Tłumaczyłeś mi, że nie wolno bić młodszych ani słabszych. Człowiek jest największą wartością, należy szanować ludzi... Nie wolno przedrzeźniać ani wyśmiewać się z ułomnych. Starszych trzeba szanować i słuchać. Nie wolno kłamać. Trzeba kochać bliźniego. Kochać i być posłusznym. Kochać i przyjmować razy. Kochać, bo...

Ojcze mój!

Ubośtwiam Ciebie. Kocham nade wszystko. Nie dlatego, że jesteś moim ojcem. Nie... Jesteś nauczycielem. Dla mnie — pierwszym człowiekiem, który znał wartość ludzi. Pierwszym człowiekiem, który nauczył mnie szacunku. I pierwszym człowiekiem, którego zabito na moich oczach.

Dzisiaj wydarło mi serce. Czuję w sobie ogień... Żydzi i dzieci żydowskie. Dzieci na żydowskiej ulicy. Dzisiaj wydarło mi sumienie. Na moją twarz założono kaganiec.

Ojczy! Niebo ciemne, znikły gwiazdy. W alejach cmentarza latają nietoperze. Pusto i głucho na ulicach. Śmierć wszędzie zbiera obfite żniwo. Nic tu z dobroci ludzkiej. Nic z ludzkiego serca.

Oprawcy chcą krwi...

Ojczy!

Pamiętam trzydziesty dziewiąty, kiedy Cię powołali. Mama płakała, a ja byłem dumny z Ciebie. Ojcowie kolegów też szli na wojnę. Wielu nie wróciło. Płakałem ze szczęścia, kiedy wróciłeś Ty.

Całowałem Twoje ręce i zmęczone oczy — wydałeś mi się aniołem. Czułem, że śnię. To byłeś Ty. Naprawdę! Ty, Ojczy — ale inny. Smutny i zamyślony. Mama po Twoim powrocie zachorowała, przez wiele dni leżała w łóżku i ciągle płakała. Czułem, że dzieje się coś niedobrego. Przerzywaliście każdą rozmowę, gdy wchodziłem do pokoju. Zagadywaliście mnie. Już wówczas wiedziałem, że jest źle — znałem Wasze rozmowy. Znałem również Waszą decyzję. Byliście przekonani, że śpię, a ja, mój Boże, siedziałem pod uchylonymi drzwiami i słuchałem. Nie śmiałem pytać, chociaż wiele razy byłem tego bliski. Wierzyłem Wam. Byłem Waszym jedynym dzieckiem, kochaliście mnie...

Leśna Podkowa, niedaleko Warszawy. Tam jest cisza i spokój. Ciotka, która mnie również kocha. Wyśmienite miejsce na przetrwanie... Tam ze mną jechałeś. Po swoją śmierć. Po moją rozpacz.

Jednego nie rozumiem: dlaczego Cię zamordowali? Czy dlatego, że byłeś Żydem? Czy były inne powody...?

Zostałem na ulicy nieznanego miasta, bez możliwości powrotu do domu, do Łodzi.

Dworzec Główny. Zatłoczony. Pełno Niemców w różnych mundurach. Wszedłem, krążyłem wokół dworca. Nie miałem odwagi wrócić na peron. Po kilkunastu minutach wszedłem do poczekalni. Na ławce pod ścianą siedziało dwoje starszych ludzi. Podszedłem i usiadłem obok. Kiedy zauważyłem wchodzących Niemców, przysunąłem się do staruszków. Mężczyzna uśmiechnął się i zapytał, czy wiem, gdzie jest ulica Wilcza. Potrząsnąłem przecząco głową. Czekam na ciocię, która ma po mnie przyjść.

Niemcy rozglądali się przez dłuższą chwilę, wyszli na ulicę i krążyli wokół. Wyglądało na to, że kogoś szukają...

Och, Tatusiu! Jestem pewien, że to mnie szukali.

Ktoś szeptał w moje uszy: „Wyrwano cię z zieloności życia. Nie ma kwitnących sadów. Słońce suchymi patykami ziemię zasłało — nie ma promieni, nie ma!” Jakby ktoś wrzeszczał mi w uszy... I szeptał... „Od dziś nic nie ma w twoim życiu — to nie twoja ziemia, nic tu po tobie, jesteś obcy! Obcy!” — darł się ten ktoś. „Błaszany Bóg ukradł twoje życie i nasłał blaszanych aniołów — krążą wokół ciebie. Nie umkniesz im...! Cmentarze — nie ulice. Cmentarze. Nie masz domu — i matki nie odnajdziesz. Jeszcze dzień śmierci nie minął. Nie śpij — ja wiem, że jesteś Żydem. I za to zapłacisz...! Słyszać dzwony, nie śpij! Słyszysz, jak jęczą...?”

Poczułem mocne szarpnięcie...

— Chłopcze! Chłopcze, obudź się, nie płacz, dziecko. Śniło ci się co?

Otworzyłem oczy... Kobieta stała przy mnie i głąskała mnie po twarzy.

— Jestem głodny.

Staruszkowie spojrzeli na siebie. Kobieta sięgnęła do tobołka, wyjęła dwa kawałki chleba i podała mi. Jadłem łapczywie. Ręce drżały mi z głodu...

Wstałem bardzo wcześnie, nie jadłem śniadania przed wyjściem z domu. Wypiłem tylko pół garnuszka mleka — nie mogłem jeść. W pociągu też nie jadłem. Mama zrobiła kanapki, były w teczce. Teczkę zabrali Niemcy, razem z Tobą. Nawet nie wiem, kiedy zabrali Twoje ciało z peronu.

Siedziałem ze staruszkami w poczekalni. Czekali na syna, który miał po nich przyjść. Martwili się, że nie przychodzi. Pisali do niego, umówili się. Byli z okolic Torunia. Odpisał, że będzie czekał na dworcu. Pociąg przyjechał wcześniej rano. Nie znali Warszawy, pochodzili ze wsi, mówili o wysiedleniu. Syn ich pracował przed wojną w urzędzie państwowym. Przyjechali się go poradzić. Mnie o nic nie pytali. Byłem zmęczony i oczy mi się kleiły.

Stary człowiek krzyknął nagle:

— Bolek!

Mężczyzna ubrany w szary płaszcz przystanął, rozwarł ramiona i pochwycił w nie staruszka. Podeszli do kobiety. Stara poderwała się z miejsca i witała syna ze łzami w oczach. On przeproszał, że musieli czekać, wcześniej nie mógł wyjść z pracy, nie było szefa, nie mógł się zwolnić.

Przy pożegnaniu mama sama mi mówiła, żebym się nie martwił, że za kilka dni przyjedzie i będziemy razem.

Pociągi do Łodzi odjeżdżały o godzinie 22.00 i o 23.35. Była dopiero jedenasta. Nie mogłem siedzieć na dworcu. Nie miałem odwagi wyjść na ulicę — zresztą, dokąd i do kogo...? Do wujostwa nie trafiłbym — nie znałem ani ich nazwiska, ani adresu. Wiedziałem, że cioci na imię Fela, a wujowi Samuel... Pytałem kobietę o Leśną Podkowę — powiedziała mi, że są trzy...

Mimo że ludzie pchali do pieca żelaznego, co mogli, było zimno. Szyby w poczekalni zamalowane kwiatami mrozu, pełno ludzi, gwar jak w lipcowych ulach, dyskusje, gestykulacja, szepty, krzyki, wrzaski Niemców: „Raus, halt, Ausweis bitte”, pod ścianami na tobołach siedziały zapłakane dzieci, od czasu do czasu Niemcy kogoś brali i wyprowadzali, popychali, bili, kopali, żądali dokumentów, szukali w walizkach, tobołach, zabierali wraz z bagażem do stojących przed dworcem ciężarówek.

Ludzie wymieniali odzież i buty na chleb, dzielili się wiadomościami: jakoby mamy opuścić poczekalnię, bo potrzebna dla Niemców; a to, że mają dawać gorącą zupę — w kółko, o wszystkim i o niczym.

Jedno się potwierdziło — wkrótce usunięto nas wszystkich na ulicę, przy ryku niemieckich przekleństw: „Raus! Polnische Schweine, verfluchte Scheisse!”

Staruszkowie z synem odeszli. Na ich miejsce czekały dziesiątki innych. Zostałem na ławce. Obok mnie usiadła kobieta otulona dużą czarną chustą, miała skórzane brązowe rękawice o jednym palcu i męskie buty z cholewami. Płakała. Stojąca obok niej dziewczyna tłumaczyła, że na pewno go puszcza i wróci. Nie wiem, o kogo chodziło, pewnie o męża i ojca. Wszyscy byli przygnębieni.

Nieopodal siedziała żydowska rodzina — rodzice i troje dzieci: dwaj chłopcy — młodszy miał cztery, a starszy może z dziesięć lat, dziewczynka około czternastu. Pochodzili z Łodzi, jechali do krewnych do Chełma Lubelskiego.

Obok nich stanęli dwaj żołnierze niemieccy i cywil w skórzanym płaszczu. Cywil mówił coś do nich. Żołnierze uśmiechnęli się i odeszli, a ten w skórze podszedł do ojca rodziny... Zobaczyłem nagle, że ten człowiek leży na podłodze, obok niego okulary i kapelusz, a nad nim w rozkroku stoi cywil w skórze:

— ...no, Żydzio, dokumenty! — ryczał do leżącego.

Zapadła cisza, ludzie zamilkli. Stojący obok mnie mężczyzna w brązowej burce splunął i powiedział głośno:

— Robi sobie świnią upust na biednym człowieku. Żyd nie Żyd, ale człowiek... — i odszedł.

...Drogi Ojczy! Nie mogę patrzeć na to, co się dzieje. Twarze ludzi

jak kowalskie miechy raz się wydłużają, to znów kurczą — zależnie od wydarzeń w poczekalni...

Te kilka godzin, Ojczy, równa się dziesiątkom lat życia...

Ty już jesteś spokojny — Ciebie to już nie dotyczy. Nie musisz przyglądać się opętańcom — deptaniu przez nich serc, godności; dzieciom płaczącym z głodu i zimna, ofiarom rzygającym krwią.

Sumienie Niemców schowane jest do żelaznych sejfów — ich błaszany Bóg pozwala im na wszystko. Może będzie im kiedyś potrzebne, wtedy otworzą sejfy i je odświeżą...

...Mój dobry anioł opiekun mówił mi kiedyś, że tylko dzieci nie grzeszą — wszyscy dorośli są grzeszni, jedni mniej, drudzy bardziej... Ale za jakie grzechy tak okrutne kary...?

To początek — nim dojdzie do końca, nikt nie pozostanie przy życiu...

W moim mózgu przetaczały się różne wyobrażenia dalszego życia. Prawdę powiedziawszy, niewiele wiedziałem. Dałem upust dziecięcej fantazji. Jedynym marzeniem był powrót do domu, do mamy, czekającej, aż wróci ojciec. Nie mogłem przewidzieć, co się ze mną stanie. Poza tym, co się stało, nic nie było pewne, a z tym, co się wydarzyło, nie mogłem się pogodzić. Miałem do siebie żal o swój wiek.

Mój starszy kuzyn mówił, że fantazja jest matką bohaterów. Siedząc w poczekalni, wśród ludzi, puściłem wodze fantazji. Raz widziałem siebie w żołnierskim mundurze, strzelającego z prawdziwego karabinu do Niemców. To znów jako pilot strącałem samoloty wroga. Widziałem też siebie jako niewolnika w rękach wroga — bitego i katowanego... Zabranego z poczekalni przez gestapo i osadzonego w więzieniu, ściganego po ulicach Warszawy przez żołnierzy w czarnych mundurach, z trupimi czaszkami w oczach. Każdy, kto próbował strzelać do mnie, padał rażony niewidzialnym ogniem, zmieniając się w białą maź...

Im bardziej pracowała moja fantazja, tym boleśniej odbierałem moje realne położenie.

Stojący nad Żydem bydlak w skórzanym płaszczu otrzymał żądane papiery. Nie patrząc na leżącego, kazał mu wstać. Pobity człowiek podierał się, drżąc. I wówczas tamten wydał z siebie niesamowity ryk i kopnął go, tak że nieszczęśnik upadł i przygniótł całym ciężarem młodszego syna...

— Raus! — wrzeszczał faszysta. — Alle Juden raus! Szybko!

Tu iść, nie tam, nie na peron, tu, prosto, tu, prosto, brać bagaże, alte Scheisse! Wstać!

Żyd płakał, trzymając dziecko w ramionach, reszta jego rodziny

ciągnęła bagaż do wyjścia. Cały ich majątek składał się z jednej walizki i trzech obwiązanych sznurem pudeł.

— Ty brudny parchu, czego stoisz? Raus! — Znów go pchnął, dziecko upadło, Żyd padł na kolana i wówczas zakotłowało się...

Bydlak w skórze wpadł w furję, kopał leżącego w twarz, plecy i głowę. Mężczyzna zasłonił dzieciaka własnym ciałem, aby uchronić go od razów.

Ludzie zamarli, dwie niewiasty obok mnie płakały. Człowiek w burce znów zbliżył się do mojej ławki. Dziwnie jakoś patrzył na mnie:

— Węszą szkopy ohydne jak psy — powiedział.

— Ciągłe kogoś zabierają — dodała kobieta obok mnie.

— Już czwarty samochód odjechał załadowany ludźmi — dorzucił mężczyzna siedzący na walizce.

— Dokąd ich wożą? — zapytała kobieta.

— Na Szucha, na gestapo — odpowiedział człowiek w burce.

Wrócił ten w skórzanym płaszczu, a z nim kilku żołnierzy z automatami. Mężczyzna w burce odszedł od nas i stanął pod ścianą, przy oknie. Ten w skórze stanął na środku sali i zaryczał:

— Alle Juden raus!

I po polsku:

— Wszyscy Żydzi na ulicę!

Weszło więcej uzbrojonych Niemców. Utworzyli szpaler do drzwi, zapadła absolutna cisza. Cywil powtórzył jeszcze raz to samo, z dodatkami przekleństw, w obu językach. Ruszyło się trochę ludzi z lewej strony, od wejścia z peronu. Prowadzili i nieśli małe dzieci na rękach, szły całe rodziny i osoby samotne, a ten w skórze wciąż wrzeszczał:

— Raus, marsz! Prędko, prędko...!

Starszy człowiek na tobołku pod ścianą nie wytrzymał:

— Gady pierdolone! Co ci zawinili? Co to szwabskie nasienie chce, ten skurwysyn w skórze? Na pewno folksdojcz. Parszywiec po naszymu mówi.

Ktoś powiedział głośno:

— Ale się odgrywiają.

— Przecież to Żydzi — rzucił drugi.

— No to co, że Żydzi? — spytała kobieta w chustce. — A to nie ludzie? Gdzie się urodzili? Na Księżycu? Też pan pieprzy głupoty. Dla mnie są takimi samymi Polakami jak ja i inni. Może pan też szwabskie nasienie...? Wynoś się, chamie! Bo ci zajadę w ślipia, parszywcu! Skończą z nimi, to za nas się wezmą. Mojego dwie godziny temu zabrali i Pan

Bóg raczy wiedzieć, kiedy puszcza. Przyczepili się do papierów, ten granatowy powiedział, jak papiery w porządku, to go przyprowadzi...

— Uspokój się, mamó — przerwała dziewczyna.

Kobieta się rozplakała...

Bydlak darł pysk:

— Juden raus!

Siedziałem na ławce, nie ruszając się. Powiedz mi, Ojczy, czy to jest bohaterstwo z mojej strony czy tchórzostwo? Przecież jestem Żydem... Grałem? Nie! Za młody jestem — nie umiem grać. Wiara, silna wiara... Lecz w kogo wierzyć — w Pana Boga...? W kogo ma uwierzyć jedenaścioletni chłopiec, kochający ojca? Ale ojciec już nie żył... W Pana Boga wierzyć? — to za trudne...

Czułem, że nie wolno mi wstać z tego miejsca. Nie wiem, czy w ogóle myślałem...

Żydzi...

Starszy człowiek, siedzący pod ścianą na tobołku, poszedł za potrzebą. Wrócił po kilku minutach, szary, ze łzami w oczach...

— Ludzie! — dusił się ze złości. — Tam! — wskazał ręką na ubikację. — Tam! To podłe, obrzydliwe! Ten biedny Żyd z córką sprząta zapaskudzone sracze, gołymi rękami. To woła o pomstę do Boga!

Tatusiu! Jestem widzem w kinie tragicznych filmów, głodny i zmęczony — za dużo tego wszystkiego...!

Po usunięciu Żydów trochę się uspokoilo, mniej było niemieckich żołnierzy i granatowych policjantów. Człowiek w burce stał, zerkając w kierunku ławki, na której siedziałem. Kobieta w chustce spytała córkę, czy nie jest głodna. Spojrzała na mnie — uśmiechnąłem się.

— Ty, synku, sam tak tutaj? A gdzie twoi rodzice?

— Czekam na ciocię z Leśnej Podkowy. Ma tu przyjść, mam czekać i nie ruszać się...

— A długo już tu jesteś?

— Od samego rana.

— To chyba jesteś głodny?

— Tak, proszę pani.

— Zosiu — zwróciła się do córki — w koszyku są bułki. Daj chłopcu jedną, niech zje...

Podszedł człowiek w burce, spojrzał z uśmiechem.

— A ileż to lat liczysz sobie pociecha? — zapytał, wskazując na mnie.

— Nie wiem, nie mój synek. Czeka biedaczysko od rana na ciocię. Dziecko głodne, to dałam bułkę...

Nic z tego, Ojczy, nie rozumiem. Dlaczego tylu ludzi na dworcu, w poczekalni? Na każdym kroku pełno tobołów, dzieci opatulone w chusty, koce... Ludzie płaczą, milczą, śmieją się, mówią szeptem o wojnie. Prowadzą dyskusje, sprzecniają się na temat końca tej zasranej wojny. Wszyscy rozmawiają ze sobą tak, jakby byli z tego samego podwórka, jakby mieszkali na tej samej ulicy. Przepijają do siebie z tej samej butelki: za koniec szwabów, za zwycięstwo, za wolną Polskę... Przecież się nie znają...

Kobieta w chustce wciąż molestowała córkę, by poszła zobaczyć, czy ojciec nie wraca — to za długo trwa.

Człowiek w burce powiedział:

— Jeżeli mąż pani ma papiery w porządku, to go puszcza. A może już puścili. To spory kawałek drogi: z Szucha na dworzec. Zna mąż Warszawę?

— Nie — odpowiedziała kobieta — jesteśmy tu drugi raz w życiu.

W poczekalni rozległo się nagle głośne:

— Stasiu! Zosiu! Gdzie jesteście?

Kobieta w chustce zerwała się z ławki krzycząc:

— Zygmuś! — i upadła zemdlona.

Córka przepychała się przez tłum, w kierunku wołającego. Po kilku minutach wróciła wraz z nim do omdlałej matki. Oprzytomniawszy, kobieta spojrzała na męża, poderwała się i padła mu w ramiona.

— Zygmuś! Kochany mój! To ty? Co oni chcieli? Jesteś! O Boże, czego chcieli? — całowała go po twarzy, pytając wciąż: — Czego chcieli?

— Czego chcieli? — powtórzył pytanie. — Ten w skórzanym płaszczu przyczepił się do moich papierów, że są fałszywe. Pytał, dokąd jadę. Powiedziałem, że do brata pod Lubartów, że brat ma tam gospodarkę rolną. Pytał, ile hektarów, powiedziałem, że osiem, i że poważnie chory. Prosił w liście, żebym przyjechał z rodziną, bo on nie daje rady. Sam chory, żona w ciąży z drugim dzieckiem. Ich dziewczynka ma dopiero cztery lata. Nie ma kto robić w polu, to dlatego jadę. Pytał, skąd? Powiedziałem, że ze Zgierza pod Łodzią. Co tam robiłem? Pracowałem w garbarni u Niemca, mam pismo od tej firmy do sołtysa, tam gdzie jadę. Jak długo pracowałem? Osiem lat. Pytał też, czy jestem Aryjczykiem, powiedziałem, że Aryjczykiem to ja tam nie jestem, ale Polakiem to na pewno. Niemiec zaczął się śmiać i powiedział do innego, w czarnym mundurze: „Dume polnysze szwajne”.

Mężczyzna w burce zapytał go, czy pamięta ulicę i numer domu, w którym był?

W tamtą stronę wieźli go razem z innymi ciężarowym samochodem, a na dworzec odprowadzał granatowy policjant.

„Panie, adresu to ja nie spamiętał i nie znam”.

Kobiecie w chustce wróciły siły, poweselała i stała się bardziej rozmowna. Spytała męża, czy nie jest głodny.

— Zjadłoby się — odpowiedział.

Wyjęła bułki, smalec i nóż. Ustąpiłem mężczyźnie miejsca. Usiadł, sięgnął ręką po koszyk i wyjął z niego kielbasę owiniętą białą szmatką. Cała trójka jadła w milczeniu.

Pod dworzec zajechało kilka samochodów. Wyskakiwali z nich uzbrojeni w automaty niemieccy żołnierze. Wpadli z krzykiem: „Raus!”. W poczekalni zaczął się popłoch.

Szybko obstawili przejście na perony i kierowali wszystkich do wyjścia na ulicę. Darli się jak oparzone świnie. Istna sodomia i gomora, wrzaski, nawoływania, płacz dzieci. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co począć, patrzyłem na trójkę jedzących ludzi. Kobieta wepchnęła mi bułkę z kielbasą. Szybko skończyli jeść. Obok mnie stał mężczyzna w burce. Położył mi dłoń na głowie. Spojrzałem na niego — uśmiechnął się i bez słowa wziął mnie za rękę. Przepchaliśmy się do wyjścia. Przed dworcem stał długi sznur samochodów, podjeżdżały wciąż nowe, wszystkie załadowane uzbrojonymi Niemcami. Wychodzących poganiano, nie wolno się było zatrzymywać, wciąż słychać było: „Weg! Weiter! Weiter!”.

— Nie jest ci zimno?

— Trochę — odpowiedziałem.

— Chodźmy szybciej, to się rozgrzejesz.

Po kilkunastu minutach wędrowki zapytał, jak się nazywam. Odpowiedziałem.

— To twojego ojca Niemcy dzisiaj rano zastrzelili?

— Tak.

Przystanąłem, spojrzałem na niego i zapytałem wprost:

— A pan czasami nie ich?

Staął jak wryty.

— Dziecko! Co ci do głowy strzeliło? Ja jestem twoim wujkiem, nazywam się... — chwycił mnie w ramiona, uniósł w górę i ucałował. — Zapamiętaj to sobie. Ja jestem twoim wujkiem Bernardem z Warszawy!

— Ojciec ani mama nigdy o tobie nie opowiadali. Nigdy nie mówili, że mam wujka w Warszawie.

— Widocznie zapomnieli...

— Mam jeszcze jednych wujostwo, w Leśnej Podkowie. Nie znam adresu, nawet nie wiem, jak się nazywają. Ciocia ma na imię Fela, a wujek Samuel.

Wujek Bernard uśmiechnął się:

— Daj bułkę, bo ci ręka skostnieje. Zjesz w domu.

Wracam, Ojcze, do Twoich słów: „Człowiek jest największym skarbem. Nic droższego w życiu nie istnieje”.

Wujek Bernard okazał się skarbem — człowiekiem... Zapewnił mnie, że jest moim wujkiem. Nie zastanawiałem się nad niczym, podałem się jego woli i więcej o nic nie pytałem. Gdyby powiedział, że jest Lucyferem i prowadzi mnie do piekła, poszedłbym za nim z całkowitym spokojem.

Długo szliśmy pieszo, potem jechaliśmy tramwajem, aż wreszcie dotarliśmy na Grochów, na ulicę Majdańską. Drugie piętro, wejście na wprost schodów.

Wujek zapukał: raz głośno, dwa razy cicho. Drzwi otworzył chłopiec lat może szesnaście. W przedpokoju wujek zapytał o ciocię. Nim zdążyliśmy zdjąć okrycia, ukazała się w drzwiach, wołając:

— Zmarzliście! Strasznie zimno!

To była Weronika. Kazała zdjąć buty. Chłopiec, który otworzył nam drzwi, przyniósł pantofle.

W pokoju nastąpiła prezentacja. Było tam jeszcze trzech innych chłopców. Ustawili się rzędem, podałem każdemu rękę. O nic nie pytali. Wyglądało to tak, jak gdybym chował się z nimi od zawsze. Jak gdybym wrócił z wakacji.

Byłem bardzo zmęczony. Ciocia to zauważyła, odgrzała mi zupę. Zjadłem i zasnąłem przy stole. Zaniesiono mnie do drugiego pokoju, rozebrano i położono do łóżka. Mimo ogromnego zmęczenia spałem niespokojnie — rzucałem się, krzyczałem, płakałem przez sen. Ciocia siedziała przy łóżku i czuwała nade mną. W nocy gorączkowałem i przeniesiono mnie do jej pokoju. Obudziłem się rano. Było już widno. Chciało mi się pić. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Prosiłem, by przyszła mama, pytałem o ojca. Nie wiedziałem, że nie jestem u siebie, płacząc wołałem mamę, to znów ojca, i tak na przemian, lecz ani ojciec, ani mama nie zjawiali się i znowu zasnąłem.

Nieszczęścia chodzą parami. Silne bóle głowy i gorączka nie ustępowały, dostałem torsji. Ciocia posłała jednego z chłopców po znajomego lekarza. Stwierdził zapalenie opon mózgowych.

Byłem jedną nogą na tamtym świecie. Jeżeli można wierzyć w cuda, to mnie uratował chyba właśnie cud. Lekarz stanął na głowie, żeby zdobyć potrzebne leki. Gorączka zaczęła powoli ustępować.

Ciocia poza Jankiem nikogo do mnie nie wpuszczała, byłem bardzo osłabiony. Narobiłem mojej nowej rodzinie sporo kłopotu.

Wujek Bernard zniknął na jakiś czas. Weronika nie wiedziała, co się z nim dzieje. Posyłała Janka do mieszkania wujka — wracał z niczym, drzwi były zamknięte na cztery spusty.

Choroba trzymała mnie w łóżku wiele tygodni. Prawie cały luty i marzec aż do połowy kwietnia przeleżałem. Kiedy poczułem się lepiej, pozwolono mi się ubrać i chodzić po mieszkaniu.

Była już wiosna. Po mrozie ani śladu. Przez szybę okienną obserwowałem świat. Na dworze było coraz piękniej i przyjemniej.

*

Dziecko...

Moje dzieciństwo skończyło się w jednym dniu — opuściło mnie razem z chorobą. Stałem się inny, dojrzały — mimo swoich zaledwie jedenastu lat. Odszedłem od przeszłości, zagościło we mnie nowe.

Nowe jest mieszkanie, otoczenie, życie w zupełnie innych warunkach, z ludźmi, których nie znam. Na początku wydawało mi się, że Bernard jest mężem Weroniki i że chłopcy są ich synami. Później okazało się, że wszyscy chłopcy są bezdomni — dzieci ulicy, którymi Weronika i Bernard się zaopiekowali. Ja jestem piątym bezdomnym, najmłodszym.

Wujek Bernard — tak go nazywaliśmy — miał czterdzieści, może pięćdziesiąt lat. Był wysoki, szczupły, o pięknej twarzy, miał duże niebieskie oczy i gładko uczesane blond włosy. Był człowiekiem nadzwyczaj dobrym. Umiał z nami postępować, na wszystkie nasze pytania wyczerpująco odpowiadał. Przepadaliśmy za nim wszyscy. Kochaliśmy go po prostu.

Ciocia Weronika była kobietą średniego wzrostu, miała długie jasne włosy, uczesane w kok, i duże zielone oczy, a ostre rysy nadawały jej wygląd osoby niezwykle zdecydowanej. W rzeczywistości była bardzo miła, łagodna i wyrozumiała. Nigdy się nie denerwowała ani nie podnosiła głosu. Tłumaczyła spokojnie, była świetnym pedagogiem. My zaś byliśmy niezłą bandą: ciągle o byle co wybuchały sprzeczki i awantury. Weronika zawsze potrafiła je rozładować. Była niewiastą bardzo pracowitą, wciąż coś robiła — zresztą było co robić, jak się miało piątkę chłopaków na głowie... Trzeba było starać się o opał, gotować, prac i obszywać. Mimo tych wszystkich zajęć znajdowała jeszcze czas na prowadzenie z nami normalnej nauki.

Mieszkanie składało się z trzech pokoi, małego przedpokoju, kuchni i łazienki z toaletą. W naszym pokoju stały dwa zsunięte łóżka — spaliśmy na nich w piątkę. Ciocia u siebie miała jedno duże łóżko i leżan-

kę. Całe mieszkanie było skromnie umeblowane — okna bez firanek. Z tego, co pamiętam, były w oknach żółte zasłony, takie jak u mojej kuzynki Ewy w Łodzi. Nad naszymi łózkami wisiał obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, a nad drzwiami do pokoju Weroniki — krzyż.

Po wejściu Niemców do Warszawy rodzina Weroniki wyprowadziła się na wieś. Ona została sama. Pierwszy zamieszkał u niej Bąk, reszta doszła później.

Przypadłem chłopcom do gustu, zaakceptowali mnie, choć byłem najmłodszy. Ponieważ byłem również najniższy, nazywali mnie „Mały”. Każdy miał przydomek. Janek po jedzeniu puszczał bąki — więc nazywali go „Bąk”. Jurek pierwszy miał łeb kędzierzawy, nigdy nie miał ładu na głowie, zawsze był rozczochrany — stąd „Kudłacz”. Ciocia zawsze mówiła mu: „Jurek, jak ty wyglądasz, uczesz się”, a on rozkładał ręce i śmiał się. Próbowała go uczesać — nie dawała rady. Uciekał do toalety, zamykał się na cztery spusty. Stefan był rudy — nazywali go „Rudy” albo „Świński blondas”. Jurek drugi kochał gadać, bez tchu, byle co, aby mówić, a przy tym zaciągał dziwnie. Jedyne, co wychodziło mu gładko, to przekleństwa. Nazywano go „Gaduła”.

Życie toczyło się z dnia na dzień. Mówiłem do Weroniki: „mamo”. Zwracała mi uwagę, że nie powinienem, nigdy nie była mężatką, a wszyscy jej znajomi wiedzieli, że nie miała dzieci. Jej by to nie przeszkadzało, ale lepiej, żebym mówił tak jak reszta — ciociu albo po prostu Weroniko. Nie zdawała sobie sprawy, że robię to bezwiednie. W czasie choroby znaczyła dla mnie tyle, co rodzona matka, opiekowała się mną, była troskliwa i nadzwyczaj czuła. Zdawałem sobie z tego sprawę. Wiele nocy nie spała, siedząc przy moim łóżku.

*

Tak jak ciężka była zima — tak piękna nadeszła wiosna. Chłopcy wychodzili spacerować na podwórko, ale nigdy razem, tylko po dwóch. Jedna dwójka wracała, następna wychodziła. O ile pamiętam, chodziło o nasze bezpieczeństwo, żebyśmy się nie rzucali w oczy. Złe nie śpi. To była przecież okupacja i każdy dzień przynosił coś nowego i tragicznego — dla Warszawy, okolic, dla całego kraju.

*

Weronika wciąż bała się o mnie, miewałem nawroty choroby, silne bóle głowy i wymioty. Byłem bardzo osłabiony, miałem zakaz wychodzenia i tak przesiedziałem w domu do połowy lipca. Żaden z chłopców nie chodził do szkoły. Weronika sama organizowała materiał szkoły

podstawowej i uczyła nas w domu, ja też zostałem włączony do nauki. Każdego dnia odbywały się lekcje i zadawany był materiał. Weronika skrupulatnie sprawdzała nasze zeszyty. Nikt nas nie odwiedzał — prócz wujka i lekarza, dobrego znajomego ich obojga. Nawet sąsiedzi nie wpadali. Ciotce wszyscy się kłaniali, ale ona nie rozmawiała z nikim, odpowiadała tylko na powitanie i szła dalej. Wyjątkiem był dozorca, z nim często prowadziła rozmowy. Raz widziałem też wujka rozmawiającego z dozorcą — witali się jak starzy znajomi.

Jest już początek czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Dni ciągną się w nieskończoność — jeszcze nie wolno mi wychodzić. Nie wiem, co się dzieje na świecie. Nikt z mojej rodziny nie przybył, by mnie zabrać, nikt o mnie nie pytał. Staram się o tym nie myśleć, ale wciąż żyję nadzieją, że mama się zjawi i zabierze mnie do domu. Straszne to wszystko, i jeszcze w dodatku ta choroba. Tęsknota za mamą czy kimkolwiek z rodziny bardzo mnie dręczy. Siedzę często przy oknie i całymmi godzinami patrzę na trzy drzewa. Każde z nich to olbrzym pokryty zielonymi ludzikami, z którymi czasami rozmawiam. Na wprost okna stoją komórki, szare, ze starych desek — widok ten przypomina mi obrazek z mojego dzieciństwa. Pamiętam, że byłem na wsi z rodzicami i widziałem identyczne drzewa i komórki. Nie mogę sobie przypomnieć gdzie...

O tym, co dzieje się w Warszawie i w kraju, ciocia nie mówi. Ma inne sprawy na głowie: żywność, odzież, obuwie dla nas. Bardzo pomaga jej Bąk. Jest na każde zawołanie. Idzie bez słowa, gdzie ona mu każe. To bardzo bystry i odważny chłopiec, zna miasto jak własną kieszeń. Janek ma szesnaście lat, jest najstarszy z nas. Wysoki jak na swój wiek, mało-mówny, trudno z niego słowo wydostać, woli słuchać, jak mówią inni. Powiada, że ma zasady i z byle kim nie rozmawia. Jedynie ciocia ma na niego wpływ, on jest jej prawą ręką. Tylko oni dwoje wychodzą o każdej porze — reszta musi uzyskiwać od nich pozwolenie.

*

Czerwiec minął bez zakłóceń. Wujka Bernarda jak nie było, tak nie ma. Z każdym dniem czuję się lepiej. Na początku lipca Weronika postanowiła wezwać lekarza. Posłała Bąka. Lekarz przyszedł na drugi dzień, kazał mi się rozebrać, zajrzał mi w oczy, gardło, opukał wzdłuż i wszerz, później założył słuchawki i kazał mi oddychać. Badanie wypadło doskonale.

— Dostanie tran, trzeba będzie przeświecić płuca. Dam znać, kiedy go przyprowadzić — powiedział w końcu. — Jak z apetytem?

Weronika spojrzała na mnie, ja na lekarza.

— Wołu z kopytami by zjadł, panie doktorze.

— To dobrze, trzeba jeść. Jest młody, rośnie, to wzmaga apetyt.

— Jeść to mało, ja żrę jak koń.

— Widzisz, zamartwiałaś się, a chłopak zdrow jak ryba.

— Doktorze, zrobiłam świeżą kawę, napije się pan?

Wyszła z pokoju. Wróciła, niosąc dwie filiżanki i dzbanek z kawą.

— Potrzebne mu świeże powietrze, może od dzisiaj wychodzić.

Szybko włożyłem ubranie i z rykiem radości wpadłem do chłopców. Mogę wychodzić na dwór! Już nie będę tkwił w oknie, patrząc na te same drzewa i komórki. Przez kilka pierwszych dni krótkie spaceru, a potem dłuższe. Dwie godziny po wyjściu lekarza poszliśmy z Weroniką na przechadzkę. Nie przyznałem się, ale w głowie mi się kręciło, myślałem, że upadnę.

Lato było piękne, słońce grzało jak wszyscy diabli, a mnie wirowało we łbie. To była długa choroba. Myślałem, że z chwilą wyjścia na dwór skończą się wszystkie męki, nawet powtarzałem sobie po cichu: „Nareszcie koniec!”. Ale było mi ciemno przed oczami, czułem, że zacznę wymiotować. Zaciskałem zęby i szedłem za Weroniką. Unikałem rozmowy, specjalnie zostawiałem z tyłu, żeby tylko nie zauważyła, że coś mi jest.

W czasie choroby dopadały mnie różne myśli. Nie wypowiadałem ich głośno. Odganiałem myśli o mamie, o domu, o całej mojej tragedii. Do Weroniki przylgnąłem ciałem i duszą. Czuła to — bardzo mnie polubiła, a raczej pokochała. Trudno to inaczej nazwać. Miłość kobiety do dziecka. Matki do dziecka.

Kiedy wracaliśmy ze spaceru, czułem się lepiej. Dopiero wówczas przyznałem się, że było bardzo lichy.

— To powietrze — powiedziała. — Dawno nie byłeś na dworze i dlatego tak. Przyjdziemy do domu, położysz się na trochę, to ci przejdzie. Ze mną to samo się dzieje, jak jestem na wsi. To trwa krótko i przechodzi. A teraz jak się czujesz?

— Bardzo dobrze, ciociu.

Rzeczywiście, czułem się już dobrze. Była bardzo zadowolona, ale zostawiła mnie u siebie na noc, spałem na leżance. Chłopcy nie reagovali, wygodniej im było spać we czwórce. Weronika naprawdę zastępowała mi matkę. Dobrze się uczyłem, była ze mnie bardzo zadowolona. Czułem nieraz przez sen, jak mnie całowała w czoło i policzki. Było mi to bardzo potrzebne. Jej czułość oddalała złe myśli. Staralem się przyjąć

to, co jest, i to, co się stało w tamtym dniu — ale wciąż miałem w oczach obraz dworca. To było straszne. Ojca ubóstwiałem nade wszystko.

*

Bąk całymi dniami był poza domem. Wychodził rano, wracał wieczorem, zmęczony i głodny. Nie wracał nigdy z pustymi rękami, zawsze coś przynosił: torbę ziemniaków, cebulę, chleb.

Kiedyś nawet przytargał pakę mięsa ze słoniną, kiedy indziej znów różnego rodzaju smakołyki i kilka kilogramów cukru.

*

Moja pierwsza wyprawa z Bąkiem do centrum — w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Pogoda była przepiękna, ani jednej chmurki. Bąk wstał wcześniej i jak zwykle wyszedł. Wrócił około jedenastej, wesoło podśpiewując.

— Cześć, brzdące! — krzyknął.

— A ty, nie taki sam? — nie wytrzymał Gaduła.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Bąk puścił do mnie oko, podszedł do Weroniki i dał jej jakiś list. W miarę czytania twarz jej się rozjaśniała. Gdy skończyła, roześmiała się głośno.

— Janek, pozwól ze mną do kuchni.

Ich rozmowa trwała kilka minut, po czym Weronika wpadła do pokoju jak bomba. Otworzyła szafę, wyjęła ułożone koszule i zapakowała je w przygotowany przez Bąka papier. Bąk zajrzał do nas z paczką i spojrział na mnie.

— Mały, masz ochotę pojechać do miasta?

Nie dowierzałem mu, ale na wszelki wypadek kiwnąłem głową. Weszła Weronika i zaśmiała się:

— Chcesz iść?

— Tak! — nie czekając na odpowiedź podbiegłem, pocałowałem ją w rękę.

Znów wszyscy w śmiech. Po kilku minutach byliśmy już za bramą. Po tyłu miesiącach pierwszy raz na dłużej, i to do miasta, do centrum.

— Dokąd idziemy? — spytałem Bąka.

— Na przystanek.

— Jedziemy tramwajem?

— Tak.

Bąk spojrział na zegarek, niemiecką cebulę, którą dostał od wujka na urodziny. Chlubił się tym zegarkiem.

— Wiesz co? Pójdziemy pieszo, piękna pogoda. Mam być z paczką o czternastej, a jest jedenasta piętnaście, sporo czasu.

Warszawy w ogóle nie znałem. Szliśmy przez różne ulice, uliczki, robiliśmy skróty. Bąk oprowadzał mnie po rozmaitych kątach. Znał Warszawę jak własną kieszeń. Mimo niedzieli roilo się od patroli, kontrolowali pieszych, zatrzymywali riksze, sprawdzali bagaże. Ludzie kłękli pod nosem, nasłuchiwałem się niecenzuralnych słów. Niemcy żądali kenkarty i zaświadczenia o pracy.

Bąk gwizdał, szedł bez cienia strachu, tak jakby to wszystko jego nie dotyczyło.

— Nie ma się czego bać, Mały, my jeszcze tym skurwysynom pokazemy. Wisła się zabarwi juchą.

Nie poznawałem Bąka, gadatliwy, nie ten sam z ulicy Majdańskiej. Śmiał się, śpiewał, gwizdał i podskakiwał.

Po długiej wędrówce dotarliśmy na miejsce. Było jeszcze trochę czasu.

— Chodź, połazimy sobie.

Poszliśmy w stronę Dworca Głównego. Wszędzie pełno Niemców. Jakiś mężczyzna w bramie sprzedawał olej w półlitrowych butelkach, zachwalał, że rzepakowy. Obok stała wiejska kobieta, też coś sprzedawała, od czasu do czasu wołała: „Świeże, świeże!” — lecz co świeże, nie widziałem. Trochę dalej w głębi bramy inny mężczyzna nawoływał przechodniów do kupna pszczelego miodu pierwszej klasy. Bąk znów spojrzał na zegarek.

— Czas wracać.

Wróciliśmy pod znany mu adres.

— Ty, Mały, zaczekasz w bramie. Za kilka minut jestem.

Po drugiej stronie ulicy patrol zatrzymał młodą kobietę. Jeden z żołnierzy zabrał jej siatkę i zaczął w niej grzebać. Kobieta wyjęła z torebki dokumenty i podała drugiemu, który spojrzawszy zasalutował, oddając jej papiery. Ten pierwszy uśmiechnął się i zwrócił jej siatkę. Kobieta przeszła na drugą stronę jezdni, odwróciła głowę od Niemców i powoli podeszła do pustej wystawy sklepowej. Po kilku minutach podszedł do niej mężczyzna w ciemnym długim płaszczu, odebrał torbę i oddalił się szybkim krokiem. Kobieta została przy wystawie. Wolno odwróciła głowę i patrzyła za odchodzącym. Za plecami usłyszałem głos Bąka.

— Idziemy, Mały. Wszystko gra.

Opowiedziałem mu, co widziałem, a on spojrzał na mnie i poklepał mnie po plecach. Zazdrościłem mu jego dorosłości. Spojrzałem na niego — uśmiechnął się, puścił do mnie oko i rzekł:

— Szwaby kontrolują wszystko i wszystkich. Przyjdzie czas, pokażemy im drogę curyk do faterlandu, do Adolfika. A teraz, Mały, do domu. Weronika gotowa na śmierć się zamartwić, że nas tak długo nie ma.

— Bąk, gdzie my jesteśmy?

— Ta ulica to Marszałkowska. A ta Emilii Plater. Tutaj, prosto, dojdiesz do Dworca Głównego.

Zakręciło mi się w głowie od tej nazwy. Stałem, czułem, że upadnę, jakby krew przestała mi krążyć w żyłach. Bąk zauważył, że coś się ze mną dzieje.

— Co ci, Mały? Strasznie zbladłeś!

— Bąk — wymamrotałem. — Bardzo cię proszę, chodźmy na chwilę na dworzec.

Spojrzał na mnie.

— Idziemy.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i pomaszzerowaliśmy szybko. Dochodząc do budynków dworcowych, zwolniliśmy. Drzwi do poczekalni były otwarte, wewnątrz roiło się od szwabów w mundurach.

— Idziemy do środka?

Pokręciłem przecząco głową. Przekłęte miejsce, miejsce śmierci mojego ojca. Zamordowali go — przekłęci — bodajby oślepli. Zbrodniarze. Przeklinam ich i ich rodziny. Przeklinam i nienawidzę do końca mojego życia.

Obeszliśmy dworzec dookoła.

— Spójrz, tutaj na prawo robią getto dla Żydów. Polakom nie wolno wchodzić. Strzelają skurwysyny, jak ktoś się pokaże bez opaski z gwiazdą. Wszyscy Żydzi muszą nosić takie opaski.

Dworzec... ten peron... Nogi miałem jak z waty. Chciałem uciec jak najdalej stąd. Cały drżałem, nie mogłem zrobić kroku. Tutaj, trzydzieści metrów dalej, zamordowali go. W tym miejscu ziemia wchłonęła w siebie moją krew. Dokonali mordu bezkarnie. Zabrali mi to, co najdroższe. Kochałem ojca nad życie. Przeklinam ich z całego serca.

Zacząłem majaczyć. Bąk się przeraził.

— Co się, do licha, z tobą dzieje? Idziemy, Mały!

— Tak, tak. Idziemy.

Byłem mu wdzięczny za to, że o nic nie pytał. Minęło dopiero kilka miesięcy — odchorowałem to wszystko. Dzisiaj po raz pierwszy przyszedłem w to miejsce. Zresztą, sam chciałem.

Przed wejściem do poczekalni stało dwóch uzbrojonych Niemców i jeden granatowy policjant. Legitymowali wchodzących.

— Idziemy, Mały. Nie mogę patrzeć na te pyski.

Policjant spojrział w naszym kierunku.

— Idziemy, Mały — Bąk zerknął na zegarek. — Idziemy, bo ten pies gotów nas wpierdolić.

Mąciło mi się w głowie. Przytaknąłem i wolnym krokiem ruszyliśmy w kierunku Grochowa. Bałem się, że nie wytrzymam drogi powrotnej. Byłem półprzytomny i nie docierało do mnie nic z tego, co mówił Bąk, a mówił dużo. Wracaliśmy inną drogą. Bąk tłumaczył, gdzie jesteśmy, wymieniał nazwy ulic. Było mi bardzo smutno, nie słuchałem go właściwie.

Lato tego roku dało się ludziom we znaki, to było chyba „lato stulecia”. Nawet późnym popołudniem słońce grzało niemiłosiernie. Ludzie opalali się nad Wisłą. Żołnierze niemieccy krążyli po mieście w porzpinanych mundurach, z hełmami zsuniętymi na tył głowy.

Bąk przez całą drogę starał się mnie rozweselić, plótł, co mu ślina na język przyniosła, byle co, aby tylko mówić. Wciąż wypytywał, jak się czuję.

— Mały — pokrzykiwał — głowa do góry, za pół godziny będziemy w domu. To bezpieczna droga, szkopy się tu nigdy nie kręcą. Można całą armię przeprowadzić.

Miał rację. Przez cały czas ani jednego szwaba nie spotkaliśmy, tylko od czasu do czasu drynda się przeturlała.

— Bąk, daleko jeszcze?

— Już nie, z dziesięć minut. Co, źle się czujesz?

— Nie, głodny jestem, zjeść mi się chce.

Położył mi rękę na ramieniu. Stanęliśmy.

— Widzisz nasz dom?

— Gdzie?

— O, tutaj, na lewo.

Praktycznie byliśmy już bardzo blisko.

— Za chwilę dojdziemy do tego wysokiego płotu z desek, tam jest przejście, tylko dla wtajemniczonych. Trzy deski u dołu się odsuwa, potem przez pusty plac i już nasza ulica.

Drynda, która nas minęła przed chwilą, zatrzymała się nieopodal tego płotu. Wsiadł z niej niski mężczyzna w białej koszuli, w bryczesach i butach z cholewami. Ocierał spoconą twarz i kark dużą kolorową chustką. Wyglądało na to, że czeka na nas. Rzeczywiście, kiedy się zbliżyliśmy, zatrzymał nas i zapytał, czy znamy Józefa sklepikarza. Bąk wskazał mu drogę.

— Musi pan jechać dalej, do końca ulicy. Później w lewo i pierwsza ulica na prawo.

— Mieszkacie w tej dzielnicy?

— Tak.

— Nie znacie bliższego dojścia? Trochę za daleko tak jechać dookoła. Nie trzeba się bać: ja nie glina ani szkop. Dostaniecie pięć dych. Mam trochę towaru w dryndzie, a gonię z dworca. No to jak?

Bąk spojrział na mnie. Nie zabierałem głosu — byłem głodny i marzyłem o domu. Bąk po chwili zastanowienia podszedł do dryndziarza, pogadał z nim i wrócił do faceta oświadczając, że pomoże, ale za osiem dych. Forsa z góry, do rączki. Gość kiwnął głową. Bąk zainkasował pieniądze, schował do kieszeni i krzyknął do dryndziarza:

— Panie starszy! Sprawa załatwiona!

Tamten zszedł z kozła i postawił na chodniku dwie walizki i torbę. Otrzymawszy zapłatę, uśmiechnął się, włożył na kozioł, zaciął konia i odjechał. Bąk chwycił za walizy i stęknął.

— Cholerstwo ciężkie! Co pan masz, że to taki ciężar?

Facet uśmiechnął się i wziął torbę. Idąc, zerkał na mnie.

— A ty, synu, co, nie pomożesz?

Bąka mało szlag nie trafił.

— Coś pan się z dechy urwał? Mały ma dźwigać takie ciężary?! Masz, frajerze, swoje osiem dych i spływaj. Z kim uzgodniłeś, kto ma pomagać? Z nim czy ze mną?

Twarz faceta zrobiła się fioletowa.

— No — zaczął się jękać — z tobą, a nie z twoim braciszkiem. Przepraszam.

— Dobra, dobra, nie trzeba przeproszać. Bierz, tatusiu, walizy i zasuwaj. Ja biorę torbę.

Bąk podszedł do płotu, postawił torbę, rozejrzał się. Zrobił cztery kroki, uklęknął, stuknął pięścią w pierwszą deskę, drugą, trzecią, czwartą, aż się przesunęły. Chwycił torbę, przepchnął ją na drugą stronę i sam przeszedł.

— Teraz ty, Mały. Dawaj pan walizki, po jednej.

Przeciągnął grubasa. Nie było to łatwe, facet był prawie kwadratowy, dwa razy taki jak ta dziura. Kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie, Bąk wyrównał deski i chodu. Grubasek poderwał walizki i pobiegł za nim — widać bał się. Poszedłem za nimi.

*

Racje żywnościowe, wyznaczone przez administrację okupacyjną, były bardzo nikłe. Wszystko było na kartki, przydziały były za małe, żeby żyć, za duże, żeby umrzeć, toteż powstał zawód szmuglera —

w Warszawie roiło się od nich. Ludzie ryzykowali wolnością i życiem. Nikt się tym nie przejmował — szmuglerstwo kwitło i rozrastało się. Krótco po wprowadzeniu kartek znaleźli się specjaliści, którzy zarzucili rynki warszawskie kartkami fałszywymi, które niczym nie różniły się od prawdziwych. Z miasta na wieś szmuglowano artykuły włókiennicze, buty i inne niezbędne rzeczy, ze wsi do miasta: żarcie i bimber zwany karbidówką. Byli i tacy, którzy zajmowali się szmuglem do Rzeszy. Tachali mięso, kiełbasę, słoninę, masło i bimber. Ta kasta miała specjalną nazwę: „ekspresiaci” albo „węglarze”. Towar przekazywano przeważnie przez kolejarzy, maszynistów, palaczy i konduktorów pociągów kursujących na trasie Generalna Gubernia — Rzesza, i z powrotem. Był to przeważnie handel wymienny — towar za towar, rzadko dokonywano transakcji gotówkowych.

Kiedy przebrnęliśmy przez pusty plac i wydostaliśmy się na Majdańską, Bąk zarządził przerwę i postawił torbę na ziemi. Grubasek chętnie odstawił walizki i usiadł okrakiem na jednej z nich. Wyjął chustkę i otarł twarz z potu.

— Do diabła, gdybym wiedział, że to tak daleko, w życiu bym się nie zgodził.

Bąk puścił do mnie oko.

— No, panie, na szmal trzeba zapracować. Mały, wal do chaty, powiedz Weronice, że będę za kwadrans. Tylko pamiętaj — dodał po cichu — morda w kubel, ani słowa o tej pomocy.

— Tak jest!

Do domu dowlokłem się bez sił. Zapukałem, otworzyła Weronika.

— Gdzie, na Boga, byliście tak długo? Martwiłam się. A gdzie Jasio?

— Przyjdzie za kilka minut. Ciociu, głodny jestem jak wilk.

— Boże, jak ty wyglądasz? Jakby cię z krzyża zdjęli! Umyj ręce — podeszła do mnie i przetręła mi twarz ręcznikiem. — Aleś ty spocony. Obmyj się, a ja ci coś przygotuję.

Nasmarowała dwa kawały chleba ze smalcem.

— Jedz, zrobię coś do picia. Jechaliście tramwajem?

— Nie, szliśmy pieszo.

— Ten Janek zwariował.

— Nie, ciociu, to ja sam chciałem. Nie znam w ogóle Warszawy, była fajna wycieczka. Janek mi mówił, gdzie co jest, a wracaliśmy inną drogą. Poznałem trochę miasto. A gdzie chłopcy?

— Na dworze. Chyba się opalają, gorąco jak w piekle, wytrzymać trudno.

Chleb ze smalcem smakował jak wyborne ciasto. Usiadłem przy stole i pałaszowałem. Weronika przyszła z jeszcze jedną kromką i garnuszkiem zimnego kompotu.

— Podoba ci się Warszawa?

— O tak. Tylko że pełno szkopów. Nie dają przejść ulicą, zatrzymują i kontrolują.

— Was też zatrzymali?

— Nie, ale widziałem, jak kontrolowali innych. Zatrzymali kilka osób, a jednego mężczyznę odprowadzili do samochodu. Ciociu, czy oni mogą zabrać ludziom ich własne rzeczy?

— Oczywiście, że mogą. Mogą aresztować, wsadzić do więzienia, zabić, oni wszystko mogą. Im wszystko wolno. Gdzie się ten Janek zapodział?

W tej samej sekundzie rozległo się pukanie. Weronika otworzyła.

— No, nareszcie jesteś.

Zastanawiałem się, komu to nieśliśmy paczkę. Odpowiedź przyszła szybko.

— Kiedy przyjdzie wujek? — zapytała Weronika.

— Dzisiaj przed godziną policyjną — odpowiedział Janek.

— Dziecko, czyś ty na głowę upadł? Dlaczego nie pojechaliście tramwajem? Wiesz, że Mały jest po ciężkiej chorobie, a ty go ciągniesz taki kawał drogi.

— Sam chciałem, ciociu...

— Wujek jest w Warszawie i dzisiaj przyjdzie.

— To dobrze, dawno u nas nie był. Jasiu, chodź do kuchni, zrobię ci coś do jedzenia, bo do obiadu daleko. Mały, zwołaj chłopców, z pewnością też są głodni.

Poszedłem po nich. Cała trójka bawiła się na podwórzu. Rudy, Kudłacz i Gaduła byli tak zajęci, że nie słyszeli wołania.

— Kiedy wróciliście? — zapytali wszyscy naraz.

— Pół godziny temu. Jazda na górę. Weronika prosi.

Gaduła jak zwykle zadał tyle pytań, że trudno było odpowiedzieć.

— Jak było?

— Fajnie, szliśmy pieszo w obydwie strony.

— Nie zabłądziliście?

— Jak widzisz.

Janek stał w drzwiach, czekał na nas.

— Szybciej, hołota, co się tak wleciecie, głodomory!

Kanapki czekały przygotowane na stole.

— Myć ręce — zarządził Bąk.

Po wyjściu z łazienki chłopcy łapczywie rzucili się na jedzenie. Weronika tymczasem nalewała kompot do garnuszków. Jedli z takim apetytem, jakby od roku nic nie mieli w pyskach. Rudy wsuwał tak, że aż się zakrztusił. Weronika spojrzała na niego — uśmiechnął się tylko i opychał się dalej.

— Rudy — odezwał się Kudłacz — mógłbyś trochę przyhamować. Zjadasz trzy kromki, zanim ja zjem jedną. Pcha w siebie jak stary. Zlituj się, żarłoku.

— Starczy dla wszystkich — wtrąciła się Weronika.

— Gdzie on się chował? Tak się opychać to wstyd i grzech.

— Jak zabraknie, dokroję. I nie najadajcie się, bo za dwie godziny będzie obiad.

— Beczka bez dna — rzucił Gaduła.

— Zamknij paszczę — odciął się Rudy. — Jem, bo mi się tak podoba, a tobie nic do tego.

— Właśnie że mnie coś do tego — rzekł Gaduła. — Obżerasz nas wszystkich, przez ciebie przejedziemy się na tamten świat.

— Ciociu — tłumaczył Rudy — ja mogę teraz się najeść, za godzinę znów się najeść, po godzinie zjeść obiad, a po następnej znów zjeść obiad. A jak Gaduła i Kudłacz będą dużo gadali, to ich porcje też zjem.

— Ludożerca, nienasycony kataryniarz, beczka bez dna! — ryknęli Gaduła z Kudłaczem.

— Dajcie spokój — odezwała się Weronika — przy jedzeniu nie wolno rozmawiać.

*

Każdy z nas ma jakieś skryte marzenia. Ja marzę o tym, żeby jak najszybciej być dorosłym. Inni — żeby najeść się do syta.

W naszym domu nikt nie głodował, ale jedzenie było jednostajne: zupa, smalec, margaryna, marmolada z buraków, i tak na okrągło. Od wielkiego święta kawałek padliny. To, co dawali na kartki, było niczym wobec naszych potrzeb. Nie wszyscy u nas w domu mieli kartki — chyba że fałszowane.

Żyliśmy, jak i reszta warszawiaków, z aprowizacji pokątnej, z tego, co Bąk ukradł albo kupił — kradzionego czy szmuglowanego. Czy w ogóle coś było legalne w tym tragicznym kotle? Samo życie nie było legalne.

Tego dnia Weronika była jakby weselsza, bardziej rozmowna niż zwykle. Wieczorem przyszedł wuj Bernard. Był opalony i wyglądał bardzo fajnie. Mówił, że nie pokazywał się tak długo, bo był chory. Każdego z nas pytywał o zdrowie i samopoczucie.

— A ty, Mały, no, jak tam z tobą?
— Dobrze, wujku.
— Aleś nam strachu napędził.
Wziął mnie za rękę, spojrział w oczy, uśmiechnął się.
— Złe już minęło, będzie dobrze. W przyszłym tygodniu idź z nim, Werońciu, do Jurka, to go prześwietli. Wszystko już załatwione, tylko zadzwoń dzień wcześniej, to ci poda, o której masz się zgłosić.
Weronika opowiedziała mu o naszym dzisiejszym wyczynie.
— Niezłą zaprawę dał Jasiu Małemu.
— Młodzi są, nic im nie będzie, najwyżej będą lepiej spali.
— Tak, ale Mały jeszcze tak całkiem nie wydobrał.
— Dobrze się czujesz, Mały?
— Tak, wujku...
— No, to wszystko w porządku. Dzisiaj lepiej być uodpornionym niż rozlazłym. Potrzebujesz powietrza, wycieczka dobrze ci zrobiła. Wojna, okupacja, nie wiadomo, co może nas jutro spotkać. Niech się dzieci hartują.
— Chłopcy, przygotować do obiadu. Jasiu, weź biały obrus, leży na dole w szafie, a ty, Kudłacz, skocz do kuchni po talerze.
Bąk uwinął się szybko i nakrył stół w rekordowym tempie. Na stół wjechała waza z grochówką i półmisek z tłuczonymi ziemniakami okraszonymi skwarkami.
Wujek nalał każdemu grochówki, mówiąc, że takiej grochówki dawno nie jadł — sam zapach jest wspaniały.
— Mówię wam, chłopcy, miód, palce lizać!
Weronika nakładała ziemniaki, spojrzała na Kudłacza i uśmiechnęła się.
— Zezujesz, Kudłacz, na tę michę z ziemniakami jak na złoto.
— Pilnuj, Gaduła, nochala, bo zawadzisz i ci odpadnie.
— Cicho, brzdące — wtrącił się Bąk.
— Co, cicho? — odszczeknął Gaduła. — Nie widzisz, baranie, że Kudłacz wszystko zjada ślipiami?
— Ciska przy stole i jeść — powiedziała Weronika.
Niecodzienne żarcie — faktycznie, miód w gębie. Każdy prosił o dokładkę. Pierwszy raz w życiu jadłem grochówkę z tłuczonymi ziemniakami.
Po obiedzie Bąk z Gadułą sprzątnęli ze stołu i pomyli naczynia. Rudy z Kudłaczem poszli się bawić, a ja zasnąłem. Gdy się obudziłem, wujka już nie było.

Koniec lipca. Nic się nie zmienia w naszym życiu. Jedynym pracującym poza domem jest Bąk. Wychodzi rano, wieczorem wraca, zmęczony i głodny. Na początku sierpnia Weronika wyjechała na całe dwa dni. Opiekował się nami wujek Bernard. Jakoś sobie radził. Gaduła nie odstępował go na krok, zagadywał prawie na śmierć, wypytywał bez przerwy. Ja, Rudy i Kudłacz bawiliśmy się w różne gry, ale Gaduły to nie interesowało. Jego zainteresowania były o wiele wznioślejsze. Pytał wujka o wojsko i o to, jaką trzeba mieć szkołę, aby zostać oficerem.

W wydaniu Gaduły brzmiało to mniej więcej tak: „Co trzeba mieć, żeby zostać oficer?”. Albo: „Ja ciebie wujek powim, ta piwnica był tak brudny, że oj, oj, oj”.

Weronika mówiła mu, żeby bardziej uważał, jak się do niego coś mówi, że im szybciej opanuje język, tym będzie dla niego lepiej. A on na to: „Co znaczy, jeszcze się nie polepszyłaś? Ciocia sze myli, ja sze naprawdę polepszyłam. Ciocia, to Rudy sze zaczepia. Ja mu mówię, ty, Rudy, nie idź sze ze mną przewracać, bo nie wygrasz”.

— Jak wujek sądzi, przyjmą mnie do szkoły wojskowej?

— Jeżeli będziesz się systematycznie uczył i skończysz gimnazjum, to masz szansę.

— Będę się uczył, i to dokładnie. Czego miałbym się nie uczyć?

— No, to przybędzie wojsku oficer.

Śmiali się jak z dobrego kawału.

Po powrocie Weronika oświadczyła, że znalazła rodziny Kudłacza i Rudego. Rudy był uszczęśliwiony. Wypytywał, gdzie mieszkają i co robią.

— Będę mógł do nich pojechać, ciociu?

— Oczywiście, za kilka dni pojedziesz na stałe.

Był w siódmym niebie. A Kudłacz o nic nie pytał — był bardzo zasnucony. Gaduła go pocieszała:

— Co sze martwisz, frajer, bedziesz na wiesz, szfieże lufty dopsze robi, nóżski wejdą ciebie do dupy od gonienia za krowy. Kudłacz, obszartuch, łep do góry i ty dziękuj Pana Boga, że takie masz rodzinie. Ja mam tylko Weroniki i nie mam nikogo innego.

— Odwal się, Gaduła, bo bańki sprawię. Przypieprzył się jak menda do tyłka i gryzie. Weź kawał gówna w pysk i żuj, a ze mnie zejdz, zrozumiałeś...?

— Ty sze tak nie ogni, ja nic złego nie mówie. Zobaczysz, że nie wychodzi z tym kitajskim rodzinkiem, nawalisz tutaj. Przysięgam, twoje miejsce na łożu ja będę pilnować, nikomu go nie puszcze, nawet temu

całemu Hitlerkowi. Jak Boga kocham, nikomu, żeby mnie tutaj pokroili, solili i palili. Nikomu! Jak mówię, to spokojna może być twoja głowa, mur-beton...

— Gaduła, czy ty zamkniesz nareszcie jadaczkę, bo się rzygać chce...

— Oj, tak, tak, kochany, tylko nie idź na skargę. Już zamykam.

Weronika przez kilka dni prała, prasowała i cerowała. Szykowała, co mogła, dla obydwóch chłopców. Któregoś dnia wujek Bernard przyszedł z jakimś panem, który miał zabrać Rudego i Kudłacza. Pan poprosił ciotkę, żeby przygotowała im prowiant na drogę, i powiedział, że przyjdzie po chłopców za godzinę. Rzeczy były już przygotowane i każdy otrzymał swoją paczkę.

Po jego wyjściu wujek zawołał obydwóch do drugiego pokoju. Gaduła aż się skręcał z ciekawości. Podchodził do drzwi, to znów wracał do stołu.

— Ty, Mały, o czym wujek może z nimi mówić?

— Nie wiem i nie jestem ciekawy.

— Zaraz nie ciekawy... A co by szkodziło wiedzieć?

— Srajda z ciebie.

— Widziałeś Kudłacza? Aż zaniemówił, jak się ten facet zjawił z wujkiem.

— Zaniemówił. A ty, co, nie zaniemówiłbyś?

— Kopnięty jesteś, Mały? Jakby mi się rodzinka odnalazła, tobym skakał pod sufit z radochy.

Starszy pan pojawił się o umówionej godzinie. Kudłacz przy pożegnaniu miał łzy w oczach, Rudy był wesoły i zadowolony. Rudemu chyba wszystko jedno z kim będzie mieszkał — z nami czy z kimś innym.

— Rodzina? Jaka tam rodzina? Nie jestem naiwny, żebym w to wierzył...

Gaduła nie mógł przeboleć, że nie poznał treści rozmowy.

— Mały, jak myślisz, czy to jakiś sekret?

— Gaduła, nie wiem. Co ci do tej rozmowy? Pamiętnik piszesz, że ci tak za skórę wlaźła?

— Po prostu: chcę wiedzieć... A zresztą, gówno mnie to obchodzi.

— Lepiej dla ciebie. Im mniej wiesz, tym spokojniej lulasz.

Z piątki pozostała nas trójka: ja, Bąk i Gaduła. Widocznie za dużo nas było w jednym chowie.

Po pożegnaniu z chłopcami Weronika zaniósła się płaczem i przez resztę dnia czuła się źle. Miała smutną twarz i zaczerwienione oczy. Ga-

duła też to zauważył. Wszyscy byli zasmuceni tym nagłym rozstaniem. Miałem dwóch bardzo mi bliskich ludzi i już ich nie mam. Nie spotkamy się już chyba nigdy w życiu.

*

Dzieci bez rodziców, bez domu. My trzej przynajmniej na razie wiemy, kto o nas decyduje: Weronika i Bernard. Ale dziś tu, a jutro może na ulicy albo u innych ludzi. Gaduła miał rację, że chciał wiedzieć, o czym mówił wujek. To był pierwszy przykry dzień od mojego tu przybycia.

Po wyjściu chłopców wujek przez dłuższą chwilę konferował w kuchni z Weroniką. Z przedpokoju krzyknął: „Do widzenia” i wyszedł.

Po tamtym wyskoku z Bąkiem do centrum nigdzie specjalnie nie wychodzę. Tkwię w domu. Od czasu do czasu wyruszamy po zakupy. Nie dzieje się nic szczególnego. O mamie nie mam żadnych wiadomości. Nie wiem, czy jest w Łodzi w naszym mieszkaniu, czy może wysiedlono ją po śmierci ojca. Byłbym szczęśliwy, gdyby Weronika zechciała ją odnaleźć, ale nie rozmawiam z nią o tym — może kiedyś sama się tym zajmie.

*

Rodzina... Kiedyś ją miałem, najbliższą. A dziś? Ojciec mojego ojca nie żyje — zginął w trzydziestym dziewiątym. Niemcy zastrzelili go w naszym mieszkaniu, gdy tylko weszli do Łodzi. Ojciec też nie żyje, zamordowany. Z mamą — nie wiem, co się dzieje, gdzie jest i co robi.

Co ja mogę? Nic. Do Łodzi nie mogę wrócić. Sytuacja Żydów jest coraz gorsza. Wiem, co się dzieje tu, w Warszawie. Zganiają Żydów za mury, szykuje się gehenna.

Bąk przynosi z miasta tylko złe wieści. Dwa dni temu grupa żołdaków urządziła sobie zabawę: na oczach przechodniów rozebrali do naga starszego człowieka z brodą, oblali go żółtą farbą, przyprowadzili drugiego Żyda, dali mu nóż i kazali obciąć temu pierwszemu brodę. Stojący obok żołdak poganiał, wreszcie zdenerwował się, kopnął tego nagiego w brzuch — starzec zachwiał się i upadł na bruk. Dwaj inni doskoczyli do leżącego i kopniakami zamordowali.

Bywa, że już nie mogę — staram się nie myśleć. Najlepszy jest sen. Śpię całymi dniami. Ważne, żeby nikt nie przeszkadzał. Bunt? Na nic się nie zda. Jestem dzieckiem. A gdybym był dorosły...? Dom... Jak wrócić? Dokąd?

Wujek Bernard mówił, że nie będzie łatwo, że trzeba odczekać. Jak

długo? Nikt nie wie. Tematu powrotu nie poruszam — jest, jak jest, widocznie tak być musi. Weronika i Bernard też o tym nie mówią.

*

Trzeci tydzień sierpnia czterdziestego roku.

Dwóch nas ubyło, Weronika ma mniej roboty, więcej czasu na uczenie nas i na dom.

Gaduła jest trudny, rozproszony — nie uważa, co się mówi, a przy tym gadatliwy. Weronika wciąż go upomina, żeby słuchał. Dużo nam czyta i opowiada o książkach. Mnie nauka idzie lepiej, bardziej uważam i łatwiej wszystko wchodzi mi do głowy.

Któregoś dnia przyszedł wujek. Ja i Gaduła byliśmy na podwórku, bawiliśmy się w wojsko. Wujek stanął w otwartym oknie i przyglądał się nam. Usłyszałem głos Weroniki, wołała mnie na górę.

— A ty, Jurku — zwróciła się do Gaduły — możesz jeszcze zostać.

Gaduła potrząsnął przecząco głową i poszedł za mną na górę.

— Jak się, Mały, czujesz?

— Dobrze — czułem, że nogi uginają się pode mną. Przyszła kolej na mnie. Może odstawią mnie do mamy? — Bardzo dobrze, wujku, już nic mi nie jest.

— To dobrze, bardzo dobrze. Aleś ty wyrósł! Wielki z ciebie chłop, prawie taki wysoki jak ja. Niedługo zaczniesz się golić — zaśmiał się z własnego żartu.

— Co wujek mówi? Żartujesz, wujku — odezwał się Gaduła. — Przecież on wujkowi do pępka nie sięga, chyba żeby wlaź na stół, to może.

— Dobra, dobra, ty nie wyższy.

— Od Małego? Jestem!

— Masz się czym chwalić: trzy centymetry.

— Też dobre.

— Przyniosłem wam spodnie. Stare za krótkie, a nowe za długie. Weronika je skróci i będą w sam raz.

W pokoju leżały dwie pary granatowych spodni. Pocałowałem wujka w policzek. Gaduła też. Kilka dni wcześniej dostałem trzewiki po Bąku — na niego za małe. Moje stare nie nadawały się już do noszenia. A teraz: pierwsze nowe spodnie w moim nowym życiu, duża rzecz.

Z Gadułą sprawa zaczyna się klarować... Jurek mówi bardzo źle po polsku. Zaciąga dziwnie, źle buduje zdania. Jego wymowa nie jest czysta, dziwnie wymawia „r”. Ja też mam z tym kłopoty, lecz u mnie to brzmi inaczej. Weronika poświęca mu dużo czasu, uczy go ładnej, czy-

stej wymowy. Czy to pomoże — pokaże czas. Jak dotąd, wszystko się jakoś układa.

Dobry wygląd, czysta polska wymowa upodabniająca do Aryjczyków, do tego dobre dokumenty — to zwiększa szanse przeżycia. Weronika nie puszcza Gaduły nigdzie samego. Wystarczy, żeby ktoś na ulicy zapytał go o jakieś głupstwo i jesteśmy ugotowani. Dlatego też na podwórku nie może z nikim rozmawiać — ma odgrywać niemowę. Lokatorzy się do nas przyzwyczaili, odpowiadamy tylko na przywitanie. Jednego dnia wynikła awantura. Gaduła spytał Weronikę, czy może iść na dwór.

— Idź — odpowiedziała — tylko pamiętaj, z nikim żadnej mowy.

— Tak, ciociu.

Nie zdążył jeszcze wyjść z klatki schodowej, a już namotał sąsiada i dawaj z nim w gadanko. Weronika przyłapała go, idąc po zakupy, i zaraz wysłała na górę po torbę na ziemniaki, której niby zapomniała zabrać.

— Pośpiesz się, Jurku, i przynieś mi torbę.

— Dzień dobry, pani Weroniko. Bardzo mi się ten chłopiec podoba, grzeczny i bardzo mądry. Ile on sobie liczy latek?

— Trzynaście.

— To synek siostry?

— Nie, to syn mojej kuzynki z Tomaszowa. Rodzice zginęli w wypadku kolejowym i wzięłam go do nas.

— A pani rodzice jak się miewają?

— Dziękuję, dobrze.

— Proszę ich pozdrowić.

— Dziękuję, panie Michale.

— Do widzenia pani.

Gaduła przybiegł do mieszkania i poszedł do toalety. Stałem w otwartym oknie i słyszałem całą rozmowę. Weronika przysłała po chwili.

— Gdzie Jurek?

— W toalecie, ciociu.

Była zdenerwowana. Kiedy wyszedł, zapytała:

— Czego chciał ten człowiek?

— Nic, ciociu. Pytał mnie, jak się nazywam, czy chodzę do szkoły i do której klasy.

— Co odpowiedziałeś?

— Że nazywam się Jerzy i chodzę do piątej klasy szkoły powszechnej.

— Jurku, ile razy mam ci powtarzać: nie wolno ci z nikim rozmawiać. Jak ktoś cię o coś pyta, masz udawać głuchoniemego. Wujek cię

o to samo prosił. Nie wolno, nie rozumiesz? Rozmawialiśmy o tym już nie raz, wiesz dobrze, o co chodzi, i wciąż to samo. W domu możesz mówić, co chcesz i jak chcesz. Poza domem masz być głuchy i niemy.

— Tak, ciociu, to się nie powtórzy. Przysięgam, to się nie powtórzy...

— Zrozum, to dla twojego dobra i bezpieczeństwa.

Wychyliłem się przez okno i udawałem, że nie słyszę. Gaduła jest bardzo żywym chłopcem, trudno mu się dziwić — nie wszystko do niego dociera. My nie zdajemy sobie sprawy z tego, co się naprawdę dzieje z Żydami w Warszawie. Wszystko, co wiemy, znamy tylko z opowiadań Bąka. Gaduła kocha mówić — wszystko jedno, do kogo. Weronice natomiast nie jest wszystko jedno...

Na drugi dzień wpadł znów wujek Bernard. Gaduła leżała na łóżku, ja odrabiałem lekcje, Weronika wycierała kurz z parapetów.

— No, no, jaka cisza w tym domu. Janek jeszcze nie wrócił z miasta?

— Nie, lada chwila powinien być.

— Daj mi, Werońciu, coś zimnego do picia, umieram z pragnienia.

— Mam zimny kompot.

— To dobrze.

Jurek spał jak zabity.

— Odrabiasz lekcje?

— Tak, wujku.

— A dużo jeszcze masz?

— Muszę przepisać całą stronę na czysto. Ciocia poprawiła mi błędy w wypracowaniu z polskiego.

Po wyjściu Weroniki chciałem obudzić Gadułę, ale wujek nie pozwolił.

— Niech sobie śpi, daj mu spokój. Powiedz szczerze, Mały, dobrze ci tutaj?

— Tak, wujku. Nawet bardzo dobrze.

— Teraz jest was trzech. Tamci dwaj są u swoich, im też jest dobrze.

Już miałem na końcu języka pytanie o moją mamę, ale dałem spokój. Czułem, że coś wisi w powietrzu. Wujek to przyglądał mi się, to znów pytał, jak mi idzie nauka.

— Trzeba się uczyć. Każdy człowiek, jeżeli chce zostać kimś, musi się uczyć. Są ciężkie czasy, oni niszczą naszą kulturę, palą, depczą ludzką godność. Jest, dziecko, coraz gorzej. Dla Żydów robią getta i obozy. Polaków łapią na ulicach i wysyłają na przymusowe roboty do ich faterlandu. Pracują tam ludzie za darmo, za marną łyżkę strawy. Nie dają żyć, tępią i mordują. Ciężko, chłopcze, ciężko... Każdy człowiek

w Generalnej Guberni musi mieć wydane przez nich papiery. Musi być zarejestrowany w ich arbeidsamcie. To takie pośrednictwo pracy. Jak już pracujesz, dają zaświadczenie, możesz się nim legitymować w razie łapanki. Ten ich dokument chroni też od wysyłki do pracy przymusowej. Wszystkich zatrzymują i kontrolują, ciebie też mogą zatrzymać, a nawet aresztować i zażądać dokumentów. Żeby ich mieć głęboko gdzieś, musisz występować pod cudzym nazwiskiem, dla twojego i naszego dobra. Chodzi o to, żeby szkopy cię nie znalazły. Może to jest trochę trudne do zrozumienia, ale przyjdzie czas, to zrozumiesz. Od dzisiaj, kochany, nazywasz się Feliks Kucharczyk, urodziłeś się czternastego sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku w Warszawie, mieszkasz przy ulicy Marszałkowskiej dwadzieścia sześć, mieszkania siedem. Ojciec, Stefan Kucharczyk, z zawodu inżynier. Mama, Józefa Kucharczyk, z domu Szymańska. Rodzice zginęli w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym w czasie bombardowania Warszawy. Nie masz rodzeństwa. Te dane są prawdziwe, dostaniesz jeszcze metrykę chrztu, to jest najważniejsze. Zostałeś sam. Opiekuje się tobą ciocia, mieszkasz z nią na Grochowie, przy Majdańskiej. Nazwisko cioci znasz. To wszystko musisz zapamiętać do tego stopnia, że nawet jak ktoś cię w nocy obudzi, zerwie ze snu i zapyta o dane, bez zająknięcia odpowiesz to, co ci przed chwilą podałem. Nie wolno ci nic pominąć ani pomylić. Musisz to wszystko wykuć na pamięć. To konieczne. Takie czasy. Zapomnij o tym, jak się naprawdę nazywasz, nie istnieje Alfred Zaks, istnieje Feliks Kucharczyk. Jeżeli będziesz miał trudności z opanowaniem tych danych, pomoże ci ciocia albo Jasio.

— Dobrze, wujku. Jeżeli chcesz, to już mogę powiedzieć, kim jestem i jak się nazywam.

Wujek spojrzał i uśmiechnął się.

— Dobrze. Proszę.

Wyrecytowałem wszystko po kolei, tak jak sobie życzył.

— No, świetnie, bardzo dobrze — ujął mnie za rękę i spojrzał w oczy. — Inaczej, dziecko kochane, nie możemy — przytulił mnie i pocałował mocno.

Weronika nadal sprzątała, Gaduła spał. Po tej rozmowie wszystko rozumiałem. Miałem straszny ból w okolicy serca, podchodziło mi pod samo gardło.

— Przepraszam, wujku — odwróciłem się i powoli poszedłem do toalety.

Tam sobie ulżyłem. Ryczałem jak zarzynany wół. Wszystko mnie w środku paliło żywym ogniem. Domy, ulice, drzewa. W Wiśle nie było

ani kropli wody — lawina ognia rozlewała się i zagarniała wszystko, co stało jej na drodze. Siedziałem w kącie ubikacji, przy sedesie i płakałem.

Zapomnij, jak się nazywałeś... Wymaż prawdę... A ta prawda brzmiała w moich uszach, rozsadzała mi mózg. Jestem Żydem — oto prawda...

Wszyscy jesteśmy podobni do siebie — tak twierdzi Bąk. Pamiętaj, głodny człowiek równa się dzikiej bestii. Każdy dba o to, żeby napęłnić własny bebecz.

Bąk haruje jak wół. Sprzedaje gazety i pomaga w sklepie u pana Wiśniewskiego na Mokotowie. Jest również wysokiej klasy specjalistą w doliniarstwie. Niejeden portfel przeszedł przez jego ręce. Pewnego dnia, była to niedziela, poszedłem z nim na spacer.

— Co ty, Mały, robiłeś, zanim przyszedłeś do nas?

— Nic, byłem z rodzicami.

— Nigdy nie chodziłeś na ścisk albo na tłok?

— Nie, nawet nie wiem, co to znaczy.

Zaśmiał się.

— To ty nie z branży...

— Naprawdę nie wiem, o co chodzi... Co to znaczy: doliniarstwo?

Roześmiał się.

— Pokaż, Mały, ręce.

Wyciągnąłem dłonie.

— Masz klawe łapska, to bardzo ważne. To jest dar dla doliniarza, ręce o długich palcach.

— Nie znam się.

— Powoli, Mały, wszystko poznasz, przynajmniej z mojej dziedziny. Poważny był ten mój profesor, lat podówczas szesnastu.

— Zaczniemy od gwary. W naszym fachu, tak jak i w innych, są ustalone terminy. Na przykład: jeden jest kowalem, drugi ślusarzem, trzeci kominiarzem, czwarty jeszcze kimś innym. Są u nas również branże. Są też specjaliści: od suchej i od mokrej roboty. Czysty fach złodziejski to: wytrycharze, ci, którzy otwierają wytrychami; pajęczarze, ci, którzy okradają strychy; kasiarze to wyższa klasa, kasy pancerne, zamki ze specjalnym kodem. Trzeba poznać mechanizm zamka i jego budowę. Doliniarzami nazywamy kieszonkowców, którzy obrabiają kieszenie z portfeli, biorą pieniądze luzem i damskie torebki. Ściągacze grasują na dworcach kolejowych, w wagonach pociągów. Jest tego cała masa, trudno wszystko wymienić.

Nic z tego nie rozumiałem.

— Ja jestem specjalistą w doliniarstwie. Innej roboty nie brałem. Do niedawna. Teraz, mój drogi, czasy się zmieniły. Człowiek musiał z konieczności rozszerzyć zakres. Ważny jest bystry wzrok. Popatrzysz na obiekt, czyli na kozła, i wiesz, gdzie trzyma majdan, czyli gelciaki. Popatrzysz i wiesz, w której części garderoby tkwi portfelik albo świecidełka. Dosyć na dzisiaj. Aha, pracuje się różnie: na tłok, pchanie, na ścisk, na smutno, czyli indywidualnie, i na gładko, wskazanie palcem.

— Bąk, nie będziesz się gniewał?

— A dlaczego miałbym się gniewać?

— Ja nic z tego nie rozumiem.

— Praktyka jest ważna. Od pierwszego razu chciałbyś wszystko poznać, i to od pogaduszki. Praktyka, braciszku, jest najważniejsza. Uważaj — wyjął z kieszeni dwudziestomarkowy banknot i podał mi. — Scho-
waj, do której kieszeni chcesz.

Cały czas nie spuszczał ze mnie oka. Podszedł, zaczął mi coś wyjaśniać, otarł się o mnie, po kilku sekundach odskoczył i pokazał mi swoją rozwartą dłoń — był w niej ten sam banknot.

— Bąk, ty jesteś iluzjonista. Ja to w cyrku widziałem.

— Cyrk, iluzjoniści: to wszystko jest mało ważne. Praktyka przy specjalistach: oto, co jest ważne.

Po niedługim czasie rozpocząłem praktykę u pana profesora Bąka. Edukacja odbywała się w domu i trwała około miesiąca. Pierwszą moją ofiarą był sam Bąk. Wtedy pan profesor stwierdził, że stanowczo wystarczy już domowej praktyki i trzeba pójść w miasto.

*

Sen.

Kim jesteś, Synu?

Zawinięta w białą chustę nocy księżycowej
miała ręce podobne do rąk mojej matki.

Nie dała poznać swej twarzy.

Odeszła w milczeniu.

*

— Mały — zwróciła się do mnie Weronika. — Masz tu kartkę. Wypisałam ci na niej wszystkie twoje nowe dane. Uważaj, żeby Gaduła nie podpatrzył, lepiej niech nie wie. Czytaj po sto razy dziennie, aż się nauczysz na pamięć. Bardzo dobrze to mało, musi być bezbłędnie. Wujek prosił.

— Ciociu, wiem od dzisiaj, że od urodzenia nazywam się Feliks Kucharczyk. A Zaks nie istnieje. Już dobrze to pamiętam.

— Daj kartkę. Kiedy się urodziłeś?
— Czternastego sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku.

— Jak się nazywałeś?

— Feliks Kucharczyk.

— A twoi rodzice?

— Ojciec Stefan, mama Józefa, z domu Szymańska.

— Gdzie się urodziłeś?

— W Warszawie, przy ulicy Marszałkowskiej dwadzieścia sześć, mieszkania siedem.

— Już, Mały. Dosyć.

Stała jak przyrośnięta do podłogi. Widziałem, że ma łzy w oczach. Podeszedłem bliżej — oddała mi kartkę.

— Podrzyj i spal.

Od dnia, kiedy przeobraziłem się w nową postać, Weronika chętnie korzystała z mojej pomocy. Prawie każdego dnia chodziłem po zakupy, ona w tym czasie robiła coś w domu.

*

Powoli, wolniuteńko życie wciąga człowieka.

Okupanci robią z ludzi gówno. Wymyślone przez nich życie zmusza starszych i dzieci do złodziejstwa, kręactwa i oszustwa. Codzienna niepewność graniczy z obłędem. Dzisiaj nazywałeś się Kucharczyk, jutro — Stachurski, pojutrze — jeszcze inaczej. Innego dnia będziesz bezimienny, ścigany, szczuty i bezdomny.

Nie wiem, co będzie dalej. Nikt się po mnie nie zgłasza i chyba się już nie zgłosi. Przecież nikt z mojej rodziny nie wie, gdzie jestem.

Trudno — zostanę złodziejem. Może nim być Bąk, to dlaczego nie ja? On też nie ma nikogo — wychowała go ulica, tak mówił. O Gadule w ogóle szkoda mówić — on nawet złodziejem nie może zostać. Coś trzeba robić, przecież nie mogę siedzieć w domu. Nie wiem, skąd ciocia bierze pieniądze na nas: na ubranie i jedzenie. Bąk przecież tyle nie zarabia. Chyba wujek daje. Widocznie to za mało — chłopcy chodzili dosłownie w łątach i podartych butach, z których wyłaziły palce. Łatane, cerowane, ale czyste. Tak było na początku mojego pobytu w tym domu. Z opałem były trudności — zapas węgla w piwnicy się kończył, Bąk wciąż przypominał o tym Weronice. Palono tylko w jednym pokoju, a i to oszczędnie. Było zimno. Gacie z tyłków nam zlatywały, ale przynajmniej nikt nie głodował. Weronika bardziej dbała o nasze żołądki niż o łachy. Sytuacja się poprawiła, gdy Rudy i Kudłacz wybyli

z domu, a ja zacząłem pracować z Bąkiem. Znosiliśmy do domu, co się dało.

Któregoś dnia Bąk wrócił wcześniej. Byłem sam. Weronika wyszła z Gadułą do sklepu, ja odrabiałem lekcje.

— Sam jesteś?

— Tak.

— Idziemy do miasta?

— Tylko skończę lekcje, to nie potrwa długo.

— Musisz się trochę rozejrzeć, poznać Warszawę, żebyś się mógł sam po niej poruszać. Pojedziemy kitajką, czyli tramwajem. Dzisiaj będzie lekcja skakania w biegu. Wyskakiwałeś kiedy z tramwaju?

— Nigdy.

— Nic trudnego.

Pierwszy skok odbył się trochę nie tak. Skoczyłem na stopy, zachwiałem się i upadłem na ręce. Na szczęście nic mi się nie stało. Drugi był lepszy. Wskakiwanie nie sprawiało mi trudności. Po kilkunastu próbach Bąk doszedł do wniosku, że wszystko gra. Powąłęsaliśmy się i wróciliśmy do domu. Odczułem zmianę w moim życiu. Miałem to, co było teraz najważniejsze: metrykę chrztu i kenkartę na cudze nazwisko. Mogłem pójść oficjalnie do pracy, zarejestrować się w arbeidsamcie i dostać te ich zakichane kartki. Po powrocie poczułem zmęczenie. Powietrze robi swoje. Zastaliśmy Weronikę samą, Gaduła bawił się na podwórku. Dziwne, że nie zapytała, gdzie byliśmy.

— Głodni jesteście? Zrobię coś do jedzenia.

— Ja najchętniej poszedłbym spać. Jestem zmęczony, ciociu.

— Mały może ze mną pracować — powiedział Bąk. — Ja bym jutro wszystko załatwił u Garbusa. On go zarejestruje w arbeidsamcie jako gazeriarza, wujek już z nim rozmawiał.

— Zapytaj Małego, czy chce pójść z tobą do pracy.

Od razu odechciało mi się spać.

— Oczywiście, że chcę! Nawet od jutra!

— A jak będzie z nauką?

— Jak to, ciociu? Po pracy.

— Dasz radę?

— Oczywiście, że dam.

— Nie jestem taka pewna. Tyle razy mówiłam, żebyś wyraźniej i staranniej pisał, a ty bazgrzesz. Piszesz za szybko i wychodzą bazgroły. Staraj się pisać wolniej.

— Przysięgam, ciociu, będę się starał.

PSALM — ROKU 1943

To było w roku czterdziestym trzecim.

— Antosiu, ktoś musi być z Tobą w tym kwadracie gładkości.

Ty jesteś moim Antosiem, a ja Twoją lalą.

— Szmaciana lala z lat dzieciństwa...

Pamiętasz, Antosiu, jak zabierałeś mnie ze sobą w zielony świat do pobliskiego lasu, na maliny.

Byłam najszczęśliwszą z lal na świecie.

— Las był wielki.

Korony sosnowych drzew sięgały do nieba, pachniało żywicą. A dookoła niego rosły krzewy malin i jeżyny.

W jednej ręce niosłeś duży gliniany dzban, a w drugiej mnie.

Szedłeś zawsze starą drogą, między stawami pełnymi ryb, mijaliśmy tartak, w którym stała olbrzymia lokomotywa.

To ona poruszała piły tnące bale na deski.

Sapała przy tym jak rozszalałe morze.

Straszna siła w niej tkwiła.

Siła całego piekła...

— Kiedyś, lalo, z tych bali i desek ludzie budowali domy i szkoły.

...Teraz jest wojna.

Rozumiesz, lalo, co to znaczy wojna?...

— Straszna to rzecz.

Teraz z tych bali okupanci budują
szubienice!

Idą!...

Idą środkiem drogi w czarnych, zielonych
i brunatnych mundurach.

– Schowam ciebie, lalo, za pazuchę.

– Mogą wszystko zabrać;

Ale ciebie nie dam!

– Nie! Krzyczałeś i mocno przycisnąłeś
mnie do piersi...

– Idą!...

Nie patrz na nich, to są mordercy.

– ...

Zobacz, lalo – mówiłeś szeptem. – Prowadzą
troje dzieci.

Pięciu SS-manów uzbrojonych w automaty

– prowadzi troje opuchniętych z głodu
dzieciaków na śmierć.

– Prowadzą je środkiem starej drogi.

– Lalo ukochana – dlaczego dzieci?

Nikogo nie wolno mordować!

*

– Kiedy już dzban był pełen malin,
stanałeś na skraju lasu i przeobraziłeś
się w wielkiego smoka...

– Krzyczałeś z całych sił:

– Zniszczę wroga!

– Nie wolno mordować dzieci!

...Nikogo nie wolno mordować.

– Zobacz, lalo – powiedziałeś.

— O, tak!

— Sięgnąłeś ręką do dzbana pełnego malin —
i z niesamowitą siłą i złością zgniatałeś
je.

— Jestem Wielkim Smokiem —
zmiażdżę tych w czarnych, zielonych
i brunatnych mundurach.

— Płakałeś przy tym — Twoje ręce drżały,
były czerwone.

Krzyczałeś tubalnym głosem.

To jest ich! Ich jucha! Bydlęca jucha!

— Lalo ty moja, dlaczego ty milczysz?

Płacz nad naszym losem...

Płacz razem ze mną.

— Antosiu, wszyscy milczą.

...Cały Świat milczy!

*

...Zagonili dzieci do ogrodu nad stawy
i strzałami z tyłu w głowy mordowali.

— Spójrz, Antosiu — Stara droga pusta...

— Słyszysz, lalo, jak drzewa płaczą?

Płacz i nad ziemią się unosi.

Kwiaty nachyliły ku niej głowy i też
płaczą.

— Ptaki i zwierzęta milczą — nawet
lokomotywa zamilkła w tartaku. Wszystko
dookoła milczy...

— Z główek maków krew się sączy i łączy
się z krwią zastrzelonych dzieci,
w wykopanym dole tworzą twarz Pana Boga...

– Ale Ty, Antosiu, jesteś Wielkim Smokiem
– jesteś cały czerwony od juchy wroga!

*

– Lalo Ty Moja!
Piękny dzisiaj dzień mamy – piękny w swoim
tragizmie.
– Ostatni dzień lata...

*

...Nadleciał wiatr.
Szalony wiatr i zmusił drżący las do
śpiewu psalmu o śmierci.
– W ogrodzie nad stawami, w wykopanym dole
leżały trzy martwe ciała splątane ze sobą
jak podarte szmaty...
– Widzisz, lalo?
Idzie! I milczy...
– Idzie Hiob do swoich dzieci – do zgrozy.
– Odarty i bosy, szary z wycięczenia.
A za nim idzie wojsko zmieszane z bielą
i niosą krzyże z drzewa męki...

Kopenhaga '97